

SPOTKANIA

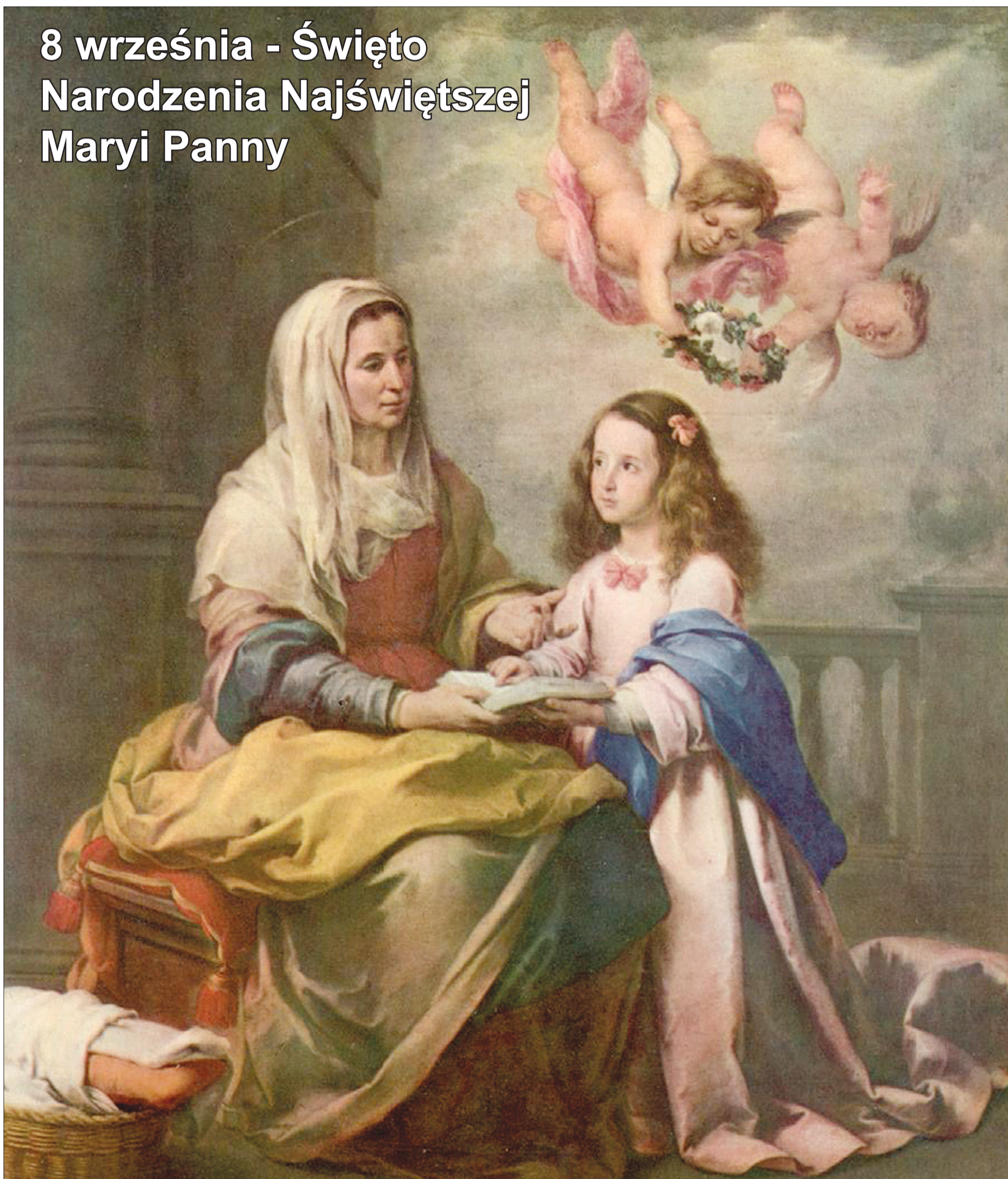
Nr 9 (470)

WILNO

WRZESIEŃ 2023

PAR. DUCHA ŚWIĘTEGO * PAR. ŚW. RAFAŁA * N. WILEJKA * PAR. ŚW. TERESY * PAR. NPNMP * PAR. ŚW. J. BOSCO * KALWARIA * NIEMENCZYN * PAR. ŚŚ. PIOTRA I PAWŁA
K-L P.W. WNIEBOWZIĘCIA NMP * PAR. ŚW. JÓZEFA * PAR. BŁ. J. MATULEWICZA * BUTRYMAŃCE * PODBORZE * SUŻANY * JASZUNY * TURGIELE *

8 września - Święto Narodzenia Najświętszej Maryi Panny





**3 września –
XXII Niedziela Zwykła**
Jr 20,7-9; Rz 12,1-2;
Mt 16,21-27

Jeśli kto chce pójść za Mną, niech się zaprze samego siebie, niech weźmie krzyż swój i mnie naśladuje.

Nasza reakcja na wolę Bożą nieraz może być podobna do Piotrowej. Pragniemy dobra, ale na naszą ludzką miarę i na nasze „widzimisię”. Boże drogi nie są naszymi

drogami, ani jego myśli – naszymi myślami. Musimy nieustannie dorastać do rozumienia woli Bożej i bezwarunkowego realizowania jej. Naśladowanie Chrystusa mierzy się nie tym, co się zyskuje, ale co się traci z miłości do Niego. Nasze życie otrzymaliśmy w darze, dlatego nie możemy go sobie przywłaszczać, ale każdego dnia oddawać je Temu, od którego je otrzymaliśmy. Tracenie siebie, zapominanie o sobie, podejmowanie codziennego krzyża powinno być naszą codzienną drogą, aż dojdziemy do wiecznej szczęśliwości.

**10 września –
XXIII Niedziela Zwykła**
Ez 33,7-9; Rz 13,8-10;
Mt 18,15-20

Bo gdzie dwaj albo trzej zebrani są w imię moje, tam jestem pośród nich.

Wspólnota kościelna różni się od jakiegokolwiek innej

wspólnoty. Nie możemy – nie mamy takiej zdolności – tworzenia jej pomiędzy sobą nawet wtedy, gdy przyświeca nam jeden cel. Zgromadzenie się w jakimś celu, nawet wzniosłym jak chwalenie Pana Boga, nie powoduje wewnętrznej jedności gromadzonych. Jedynie osobista, głęboka więź z Panem Jezusem sprawia, że stajemy się jednością. A ta więź domaga się życia w łasce uświęcającej, codziennej modlitwy, pełnienia woli Bożej i praktykowania cnót. Kiedy Jezus jest w centrum naszego życia i w centrum życia naszego bliźniego, wówczas On sprawia, iż stajemy się wspólnotą, jednością, jesteśmy zebrani „w Jego imię”. Inaczej to są jedynie mrzonki.

**17 września –
XXIV Niedziela Zwykła**
Syr 27,30-28,7;
Rz 14,7-9; Mt 18,21-35

Panie, ile razy mam przebaczyć?

Piotrowi się wydawało, że symboliczne „siedem razy” jest wystarczającą ilością na przebaczenie bliźniemu. Pan Jezus dodaje jeszcze jedną siódmkę, co oznacza nieskończoną ilość razy.

Ten, kto zbliża się do Boga, bez trudu uświadamia sobie, że sam z siebie jest niczym, że wszystko cokolwiek otrzymał jest darem Boga. Ma świadomość, że jest dłużnikiem miłości i że każdemu winien ją świadczyć ze względu na Boga. Miłość zakłada między innymi przebaczenie.

Tak czynili święci, którzy przebaczaali swoim oprawcom. Człowiek, który w swej pysze myśli, że otrzymuje Boże przebaczenie ze względu na swoją wyjątkowość czy wspaniałość, jest godny politowania i ma serce niezdolne do przebaczenia.

**24 września –
XXV Niedziela Zwykła**
Iz 55,6-9;
Flp 1,20c-24.27a;
Mt 20,1-16a

Przyjacielu, nie czynię ci krzywdy.

Dzisiejszą przypowieść możemy zrozumieć na opak, jeżeli będziemy ją postrzegać w ludzkich kategoriach ekonomicznych. Sprawiedliwość społeczna domaga się, aby tych, którzy pracują dłużej, solidniej wynagradzać aniżeli tych, którzy dołączyli na końcu. W oczach Pana Boga nie istnieje różnica pomiędzy pracownikami porannymi i wieczornymi. Pan Bóg wszystkim pragnie udzielić daru zbawienia i każdego wzywa do przyjęcia tego daru. Jego miłość dociera do wszystkich ludzi. Nie istnieje jakies pół-zbawienie albo większe. Albo będzie się zbawionym, albo nie.

anka

Zielna u franciszkanów



Od kilku lat na uroczystość Wniebowzięcia Najświętszej Maryi Panny, czyli na tzw. Zielną, wileńscy ojcowie franciszkanie zapraszają na odpust połączony z festynem, która w tym roku zainaugurowała Msza św. odpustowa o godz. 11.30, której przewodniczył ks. Ričardas Doveika, o 13.00 rozpoczęła się zabawa festynowa.

Festyn w wirydarzu klasztornym rozpoczęła orkiestra dęta z Pucka wraz z zespołem kłeryckim z Łodzi-Łagiewnik „Pokój i Dobro”.

Przygotowano też różne atrakcje dla dzieci: konkursy, zapoznanie się z ciekawą książką, batut.

Kościół pw. Wniebowzięcia Najświętszej Maryi Panny wybudowany został w XIV-XV wieku. W XVIII w. przebudowany w stylu barokowym.

Klasztor przy ulicy Trockiej jest pierwszym klaszturem franciszkanów na Litwie i trwał nieprzerwanie do kasaty carskiej po powstaniu styczniowym. Jego historia liczy już 800 lat.

W czasach radzieckich zamieniono go w magazyn. W 1998 roku po długich i mozolnych staraniach, szczególnie o. Marka Dettlaffa, franciszkanom udało się odzyskać kościół i klasztor. Od tego czasu franciszkanie pręźnie przywracają dawną świetność kościołowi pw. Wniebowzięcia Najświętszej Maryi Panny i przylegającemu zespołowi klasztornemu.

*Tekst i foto
Waldemar Dowejko*



Miłość silniejsza niż strach

W niedzielę 10 września 2023 r. w Markowej odbędzie się beatyfikacja Wiktorii i Józefa Ulmów oraz ich siedmiorga dzieci – polskiej rodziny, która została zamordowana przez żandarmerię niemiecką w czasach II wojny światowej za ukrywanie w swoim domu Żydów.

W czasie hitlerowskiej okupacji 12 X 1939 r. gubernator Hans Frank wydał rozporządzenie grożące Polakom karą śmierci za jakąkolwiek pomoc udzielaną Żydom.

Według szacunków historyków z IPN w ratowaniu Żydów w czasie hitlerowskiej okupacji uczestniczyło ok. 1 miliona Polaków. Kilkanaście tysięcy Polaków zostało w bestialski sposób zamordowanych przez oddziały SS za ukrywanie osób żydowskiej narodowości.

Głównym motywem takiej heroicznej postawy było ewangeliczne wezwanie do miłości bliźniego, które podjęła także rodzina Ulmów.

WIEŚ, JAKICH WIELE W POLSCE

Józef Ulm urodził się i spędził całe swe 44-letnie życie w Markowej w powiecie przeworskim - w pięknej, bogatej w tradycje ziemi przemyskiej. Ukończył 4-klasową szkołę powszechną, a potem z wynikiem bardzo dobrym - szkołę rolniczą. Był inteligentny, pomysłowy i rzutki. Dopiero mając 35 lat, ożenił się z Wiktorią Niemczak; stworzyli razem ogromnie kochającą się rodzinę. Józef, złota rączka, zbudował sam aparat fotograficzny, dzięki któremu mamy dziś kolekcję zdjęć jego żony oraz sześciorga dzieci: najstarszej Stasi, Basi, Władzia, Franusia, Antosia i Marysi. Widać na nich zdrowe, okrągłe buzie zadbanych i otoczonych miłością dzieci. Dzięki gospodarności i pracowitości rodziców zamożność Ulmów wzrosła na tyle, że Józef, licząc się z rosnącymi potrzebami rodziny, mógł sobie pozwolić na zakup większego, 5-hektarowego gospodarstwa w Wojsławicach, w żyznej ziemi sokalskiej. Rodzina szykowała się do przeprowadzki, gdy wybuchła II wojna światowa. Okupacja niemiecka na ziemi przeworskiej nie różniła się od tej w innych częściach Generalnej Guberni. Na wsi była to udręka obowiązkowych, bardzo wygórowanych kontyngentów, ciągła kontrola oraz rewizje gospodarstw, zakaz handlu produktami rolnymi, wywożenie młodzieży na roboty przymusowe do



Niemiec, pobór mężczyzn do prac budowlanych (tzw. *bau-dienst*) lub do prac związanych z obsługą frontu wschodniego (czyli do tzw. *prac za San*), łapanki, terror, kara śmierci za byle co. Na terenie gminy Markowa działały struktury podziemne Armii Krajowej i Batalionów Chłopskich.

„ŻYDZI NA ŚNIADANIE, POLACY NA OBIAD”

Wcześniej też zaczęły się przygotowania okupantów do eksterminacji ludności żydowskiej. Na początku kazano Żydom nosić opaskę z gwiazdą Dawida, a potem zmuszano ich do różnych robót - głównie fizycznych - bez wynagrodzenia. Od 1941 r. zabroniono im opuszczania miejsca zamieszkania i zaczęto tworzyć dzielnice żydowskie po miastach i miasteczkach, zwane *gettami*. Wtedy to, czując zagrożenie, wiele rodzin żydowskich zaczęło opuszczać miasta w nadziei na znalezienie schronienia po wsiach. Od lipca 1942 r. rozpoczęły się niemieckie „polowania na Żydów”; każdy, kogo Niemcy złapali poza *gettem*, był rozstrzeliwany.

Nie ominęło to Markowej. Wieś zamieszkiwało kilka rodzin żydowskich. Latem 1942 r. niemiecka żandarmeria zaczęła je zabierać do aresztu i wiadomo było, że w następnych dniach tych ludzi czeka śmierć.

Kto mógł, uciekał. Jedna Żydówka, żegnając się z polskimi sąsiadami i przeczuwając wspólnotę losu wobec niemieckich apetytów eksterminacyjnych, rzekła: „My na śniadanie, Polacy na obiad”.

Uciekano głównie do lasu, w zarośla i w jary, zwane w tych okolicach „*potokami*”. Józef Ulm w takim właśnie „*potoku*” kopał ziemiankę - schron dla ukrywającej się znajomej rodziny „*Ryfków*”, jak ich nazywano we wsi. Niektóre rodziny żydowskie znalazły schronienie w polskich domach i gospodarstwach. Wiadomo na pewno, że wyzwolenia doczekało w Markowej 17 Żydów, ale to przypuszczalnie niepełna ich liczba.

Od kiedy Józef Ulm i jego żona Wiktorja przygarnęli pod swój dach dwie rodziny żydowskie: Szallów i Goldmanów, razem 8 osób - nie wiadomo. Wszyscy oni mieszkali przypuszczalnie na strychu. Gospodarze nie brali od nich wynagrodzenia; wszystkie kosztowności pozostały przy ukrywających się. Żydzi pomagali Ulmom w pracach, ale tylko tych, które mogły być wykonywane w ukryciu, więc na przykład w garbowaniu skór, czym Józef dorabiał na potrzeby domu. 3-hektarowe gospodarstwo musiało wyżywić 16 osób. Wymagało to nie lada wysiłku, ale Ulmowie byli „(...) katolikami nie tylko z metryki, ale przede wszystkim z uczynków. Całym życiem świadczyli o przynależności do Chrystusa.

24 MARCA 1944 ROKU

Nie wiadomo do dziś, pomimo zebrania obszernej dokumentacji dotyczącej losów wojennych Markowej, kto i w jakich okolicznościach zadenuncjował Ulmów.

Pewną przesłanką może tu być historia jednej z ukrywa-

nych rodzin spisana przez Mateusza Szpytmę: „Szallowie zamieszkiwali przed i na początku wojny w Łańcucie. Zdając sobie sprawę ze zbliżającego się *ostatecznego rozwiązania kwestii żydowskiej*, rozpoczęli poszukiwania schronienia. Obiecał im je Aleksander Leś, posterunkowy w Łańcucie, z pochodzenia Ukrainiec. Za pomoc mieli mu oddać dom i pole, które posiadali. Gdy to uczynili, wkrótce wyrzucił ich z ukrycia. Udali się wtedy do Markowej i przechowywali się u Ulmów. Gdy nieuchronnie zbliżał się koniec niemieckiego panowania, Leś zdał sobie sprawę, iż zagrabiony majątek może stracić. Postanowił więc, że musi doprowadzić do ich zagłady. Uzyskanie informacji, gdzie przebywali, nie było zbyt trudne. Podobno Leś, kiedy się dowiedział, że Szallowie przechowują się prawdopodobnie u Ulma, przyjechał do Markowej i pod pozorem zrobienia zdjęcia udał się do ich domu, by ocenić, czy informacja może być prawdziwa”.

Był zaledwie początek wiosny. Miało się już ku końcowi okupacji, bo front wschodni się zbliżał. Represje niemieckie wobec ludności polskiej nasilały się. W dowództwie żandarmerii w Łańcucie zapadła decyzja o zlikwidowaniu kryjówki Żydów w domu Ulmów w Markowej. Akcją dowodził Eilert Dieken.

24 marca 1944 r., bardzo wczesnym rankiem, rozegrał się dramat. Na rozkaz niemieckiej żandarmerii towarzyszyły jej cztery furmanki polskich gospodarzy, przeznaczone na wywóz żydowskiego dobra z kryjówki. Już podczas akcji wezwano też sołtysa z kilkoma ludźmi do kopania grobu.

Niemcy wpadli do uspięnego jeszcze domu. Zastrzelili ukrywających się i gospodarzy (Wiktorja oczekiwała za kilka dni narodzin siódmego dziecka), na końcu ich dzieci. „Ja pamiętam tamtą noc” - mówi mieszkanka Markowej. - Nie widziałam, ale słyszałam. Najbardziej było przerażające to, jak zastrzelili rodziców. Na całą wieś słychać pewnie było to, co ja słyszę do dzisiejszych dni: wołanie i płacz dzieci. Coraz cichsze. Tak, za każdym razem, kiedy rozlegał się strzał, wołania były cichsze, bo ich już ubywało. Aż wreszcie umilkły”.

Oprawcom bardzo zależało na tym, by sporo ludzi widziało zbrodnię. Jeden z żandarmów powiedział do furmanów: „Patrzcie, jak giną polskie świnie, które przechowują Żydów”.

Kiedy po chwili przybył wezwany przez Niemców sołtys z ludźmi do grzebania ofiar, zapytał dowódcę, dlaczego zamordował dzieci. Ten odpowiedział cynicznie: „Aby gmina nie miała z nimi kłopotu”.

NIE MA WIĘKSZEJ MIŁOŚCI..

Na co się zdała ofiara rodziny Ulmów, skoro i tak nie uratowali tych, którym udzielili schronienia, a wydali na zagładę siebie i swoje dzieci? W oczach ludzkich „(...) zejście ich poczytano za nieszczęście i odejście od nas za unicestwienie (...)”, jak mówi Księga Mądrości (3,2-3); „Doświadczył ich jak złoto w tyglu i przyjął ich jak całopalną ofiarę” (Mdr 3, 6).

Ileż poświęcenia i miłości wymagały od wszystkich - gospodarzy i ukrywających się - te miesiące czy lata wspólnego życia w takich warunkach, w ciągłym strachu - ale także w nieustannym zawierzeniu Bogu. Bez oparcia w modlitwie i ufności nie sposób sobie tego wyobrazić. Jak dojrzewały charakter, ile wzajemnej dobroci, cierpliwości, wyrozumiałości było trzeba, aby znosić to wspólne życie. Ile czujności i odpowiedzialności musiał każdego dnia wykazywać Józef, ileż ciężkiej pracy, troski i ufności wymagało od ciężarnej Wiktorii karmienie 16-osobowej gromady ludzkiej z zasobów ubożego gospodarstwa. W tej atmosferze dzieci dojrzewały ponad swój wiek.

Chyba wszyscy dojrzewali. Świadectwo i przykład rodziców i gospodarzy musiały udzielać się pozostałym. Skoro Bóg zechciał, aby połączyło ich nie tylko wspólne życie, ale i wspólna śmierć wszystkich, nie wyłączając nikogo, nawet najmłodszych - to mamy prawo widzieć w tym znak jakiejś mistycznej solidarności losu, wspólnie zaniezionej przed Boży tron i przyjętej ofiary, skoro Bóg zechciał ich wszystkich razem, w jednej godzinie, przytulić do swego ojcowskiego łona. „(...) oni trwają w pokoju” - mówi Księga Mądrości (Mdr 3, 3).

Na ziemi też o nich nie zapomniano. W 1995 r. izraelski instytut pamięci ofiar Holocaustu Yad Vashem przyznał pośmiertnie Józefowi i Wiktorii Ulmom medal „Sprawiedliwi wśród Narodów Świata”. W 2003 r. rozpoczął się proces beatyfikacyjny całej rodziny Ulmów. 24 marca 2004 r., w sześćdziesięciolecie ich śmierci, w Markowej został odsłonięty pomnik ku ich czci.

Teresa Tyszkiewicz

Kościół udziałskich franciszkanów

Miejscowość Udział, po białorusku Удзела (Udziała) leży w powiecie głębockim, województwie witebskim na Białorusi. Znajduje się tu kościół pw. Niepokalanego Poczęcia NMP. Pierwszy kościół i klasztor franciszkanów, ufundowany przez wojewodę mścisławskiego Józefa Korsaka i jego małżonkę, był drewniany. Obecny, murowany, ukończony u schyłku XVIII w. i przebudowywany i remontowany kilkakrotnie w XIX w.

O historii kościoła opowiadają cztery tablice umieszczone wysoko na ścianach prezbiterium kościoła. Ciekawe również z tego względu, że mówią językiem i stylem swego czasu. Ich zdjęcia i tekst, ze współczesną pisownią wyrazów, lecz z zachowaniem wielkich liter z oryginału i interpunkcji, zamieszczono chronologicznie: „Józef i Marianna ze Szwejkowskich Udziałscy Korsakowie. Ziemianie Jego Królewskiej Mości. Małżonkowie w dobrach swoich dziedzicznych Udziale województwa i Powiatu Połockiego Fundowali O.O. Franciszkanów r. 1642. Lipca 30 dnia takowy fundusz objęli urzędowanie Franciszkanie r. 1643. Miesiąca Augusta 21. dnia za utwierdzeniem Króla Polskiego Władysława IV.” „Na murowany ten Kościół Parafialny pod tytułem Najświętszej Marii Panny Niepokalanego poczęcia Kamień węgielny położył Jaśnie Wielmożny Felix Towiański wysłużony Prowincjał litewskich Franciszkanów Biskup Karpazyński Sufragan Białoruski. Roku 1777. Listopada 8 dnia.”

„Kościół Udziałskich Franciszkanów Parafialnych przez Nuncjusza Apostolskiego uznany a(nno) 1727 później utwierdzony Parafialnym z powiększeniem instrumentu wydany J.O. Xięcia Ignacego Jakuba Masalskiego G.O. Biskupa wileńskiego Senatora Orderów orła Białego i S. Stanisława kawalera R 1791. Listopada 2 dnia.” „Cały ten Kościół za troskliwą starannością O. O. Franciszkanów Został własnym Kosztem Wymurowany i ukończony r. 1837. Ad. M. D. G.”

Bryła kościoła klasycystyczno-barokowa. Fasada ozdobiona niszami, pilastrami, półkolumnami i gzymsami, zwieńczona trójkąnym szczytem. Ściany boczne i półkolista apsyda zdobione pilastrami i gzymsami. Wejście na teren kościoła przez dwukondygnacyjną bramę – dzwonicę o pięknym kształcie, zdobioną jak kościół. Zachowała

się część dawnego budynku klasztorowego i zabudowań gospodarstwa z ciekawą bramą. Kościół i pozostałe budynki w czystych, jasnych barwach, otoczone ładną, starannie utrzymaną zielenią. Całość obwiedziona murem. Wnętrze kościoła trzynawowe z półkolistym prezbiterium i dwoma zakrystiami. Wystrój klasycystyczny o oszczędnych i harmonijnych liniach kolumn i ich zwieńczeń. Piękna linia chóru i zdobienia ołtarzy.

Ks. Kamil Kantak podaje, że w 1717 r. biskup wileński Zienkowicz pozwolił poddanym franciszkańskim przyjąć obrządek łaciński i utworzył dla nich parafię. Natomiast o. Niewiarowski pisze o parafii udziałskiej funkcjonującej od 1727 r., że została erygowana przez bpa Michała Zienkowicza i przeznaczona była do obsługi poddanych franciszkanom włościan. Obydwie daty łączone z biskupem Zienkowiczem nastrożają nieco trudności. Michał Zienkowicz został kanonikiem wileńskim, a w 1717 r. mianowany sufraganem żmudzkiem. Po śmierci bpa Panczerzyńskiego w 1730 r. kapituła wybrała go na biskupa wileńskiego. Możliwe jest, że będąc kanonikiem wileńskim, a następnie sufraganem żmudzkiem, posiadał pewne prawa do wydawania decyzji administracyjnych w diecezji wileńskiej. Parafia w Udziale oficjalnie została erygowana 2 listopada 1791 r. Graniczyła z parafią głębocką odległą od niej o 4 wiorsty, z daniłowicką – o 2 mile i mosarską – o 3 wiorsty. W 1830 r. liczyła 1578 wiernych.

Na terenie parafii udziałskiej znajdował się kościół filialny w Konstancyntynie. Został założony przez o. Feliksa Towiańskiego, byłego prowincjała prowincji litewskiej, od 1765 r. biskupa karparyjskiego. Kościół ufundowała matka sędziego Mikołaja Okuszki. W archiwum kościoła w Udziale znajdowały się następujące księgi parafialne: księga chrztów i ślubów prowadzona od 1702 r., księga zmarłych – od 1772 r. i księga spisu parafian. W 1820 r. parafia liczyła 644 osoby dorosłe i 177 dzieci. W spisie parafii diecezji wileńskiej z 1744 r. nie ma zapisanej oddzielnej parafii udziałskiej, lecz została ona ujęta jako miejscowość należąca do parafii w Głębockim, w dekanacie połockim. W 1834 r. w prezbiterium kościoła znajdowały się 4 tablice. Na jednej z nich był umieszczony następujący napis: „Kościół Udziałski franciszkanów

Parafialnym uznany przez Nuncjusza Apostolskiego za zezwoleniem Biskupa Wileńskiego Michała Zienkowicza dla swoich poddanych, którzy unikając zdzierstwa Parochów Unickich przyjęli Obrządek Rzymski 1727 roku. A utwierdzony z powiększeniem parafii przez J.O.Xcia Ignacego Jakuba Massalskiego Biskupa Wileńskiego, Senatora, Orderu Polskiego Orła Białego i S. Stanisława Kawalera Ru 1791 Mca Listopada 2 dnia wydanym in documentem”. Pierwszym proboszczem oficjalnie



Kościół pw. Niepokalanego Poczęcia NMP w Udziale

powołanym na to stanowisko 2 listopada 1791 r. był o. Joachim Niewiarowski.

W 1820 r. W ciągu roku klasztor udziałski odprawiał 351 Mszy św., w tym 157 śpiewanych. W stosunku do ilości kapłanów nie było to dość uciążliwe zobowiązanie.

Klasztor udziałski od 23 lipca 1842 był nieetatowym, oznaczało to, że znajduje się na liście obiektów przeznaczonych do szybkiego zamknięcia. Wspólnotę klasztorową w 1842 r. tworzyli: o. dr Kajetan Panfilowicz, ojciec prowincji, gwardian, o. Franciszek Machciński, kaznodzieja, o. Karol Henrykowski, o. Jozafat Wajciulewicz, o. Kazimierz Alexandrowicz, o. Protus Sutkiewicz, o. Aeschilus Żyliński, o. Jan Jackiewicz, o. Korneliusz Żygo, o. Dionizy Jakowski, o. Hugulin Suffranowicz, o. Bernard Pużewski, o. Karol Michałowski i br. Adrian Kurowski. Z tego konwentu wikariuszami i kapelanami na innych placówkach duszpasterskich byli: o. Henryk Reczyński w Porzeczu, o. Łukasz Tubiewicz w Dziedzini, o. Hipolit Płonkowski w Błonie, o. Michał Orłowski w Rafałowie, o. Patrycy Tomaszewski Mankowcach, o. Urban Karpowicz w Serafinie, o. Dominik Leszczyński w Dziśnie, o. Dydak Bartoszewicz w Mosarzu, o. Apolinary Zwinogrodzki w

Mińsku, o. Bartłomiej Kutowski w Połocku, o. Ludwik Minkiewicz w Sosnowie, o. Mikołaj Olszewski w Prozorokach, i diakon Julian Wiszniewski w Mińsku, suspendowany.

Zachowały się trzy pisma dotyczące zamknięcia klasztoru w Udziale. Dwa z nich były adresowane do konsystorza, jedno do biskupa wileńskiego. Poniżej znajduje się ich pełny tekst:

Uchwała rz-kał Duchownego Konsystorza z 16 listopada 1851 r. Nr 3865 o zamknięciu franciszkańskiego udziałskie-

I następny list: Do Jaśnie Wielmożnego Biskupa Djecezy Wileńskiej i Kawalera Wacława Żylińskiego Zastępcy dzisiejszego dziekana x. Brychycy Raport Na przedpiśanie Waszej Pasterskiej Mości dnia 19 listopada tego roku za nr 1953 mnie dane żeby na miejsce x. Adama Kulwienia terażniejszego administratora kościoła udziałskiego przeznaczyć jednego franciszkana do pomocy w pełnieniu religijnej posługi, chorowitemu x. Augustynowiczowi plebanowi mosarskiemu; ja przeznaczyłem x. Antoniego Turczynowicza jednego z mieszkańców byłego udziałskiego klasztoru; o czym Waszej Pasterskiej Mości raportując polecam się św. błogosławieństwu. Zastępca dzisiejszego dziekana x. Brychycy Nr 419 15 grudnia 1851 r. Udział.

Następne pismo także przedstawia sytuację w Udziale: *Do wileńskiego rzymsko katolickiego duchownego konsystorza Dziekana dzisiejskiego Raport Spełniając ukaz prześwieczonego konsystorza z daty 1852 roku miesiąca lutego 19 dnia za nr 1161, mojemu poprzednikowi dany, na zapotrzebowanie policji części klasztoru po franciszkańskiego i zabudowań w Udziale oddałem w mienie cywilne – akt wspólnie z Prykazem 2. stanu uczyniliśmy, którego jeden egzemplarz za wspólnym powiadomieniem, zostawiłem u miejscowego administratora, a drugi przy niniejszym Prześwieczonego Konsystorzowi z uszanowaniem przedstawiam Dziekan dzisiejski x. Puzyra.*

W 1903 r. w Udziale proboszczem był ks. Jarosław Bejnarowicz, parafia liczyła 3572 wiernych. W 1912 r. liczba wiernych zmniejszyła się do 2906, obowiązki proboszcza pełnił ks. Jan Ukryn. Kościół w Udziale w 1911 r. był zaklasyfikowany do 5 klasy. Była to świątynia pw. Niepokalanego Poczęcia NMP, gromadząca 2978 wiernych. Do niej należał kościół filialny w Konstancyntynie. Klasztor skasowano w 1851 r.

Kościół obsługiwał kler diecezjalny. Świątynię zamknięto w 1949 r., po wielu latach w 1988 r. zwrócony wiernym.

W 2000 r. franciszkanie powrócili do Udziału. Erygowano klasztor, a przy nim „Niepokalanów Białoruski”. Została też otwarta całoroczna ruchoma „Franciszkańska Szopka”. Obecnie w klasztorze pracuje trzech franciszkanów.

O. Józef Makarczyk OFM-Conv., Miedniki Królewskie

Od wiary rodziców do osobistej

W osobistym doświadczeniu Boga bardzo ważnym czynnikiem jest wspólnota rówieśnicza – mówi Tomasz Cichocki, katecheta i dyrektor szkoły, w rozmowie z Ireną Świerdzewską

- Dlaczego dzieci, także z rodzin głęboko wierzących, tracą wiarę w konfrontacji ze środowiskiem?

- U młodego człowieka w okresie szkoły średniej następuje oderwanie od „wiary rodziców” i przejście do „wiary osobistej”. Nie wystarcza wtedy wiara wyniesiona, ukształtowana w rodzinnym domu. Świadczenie rodziców, nawet jeśli jest dobre, może – a nawet powinno – być kontestowane przez nastolatka, który szuka osobistej relacji z Jezusem. Część młodych ludzi stawia pytania i szuka odpowiedzi. Chcą wejść w osobiste doświadczenie Jezusa. Jest to jeden z etapów i czynników rozwojowych dziecka. Te przemiany nie oznaczają więc, że cała młodzież traci wiarę.

Osobną kwestią są trudności z wytrwaniem w wierze wyniesionej z domu. Osoby wierzące chciałyby chodzić na lekcje religii, ale kiedy na katechezie zostaje garstka młodzieży, rezygnują. Nie bez wpływu jest to, że religia jest o siódmej rano albo na ostatniej godzinie zajęć.

- Czyli oddziaływanie środowiska rówieśniczego na tym etapie życia nastolatka ma też ogromne znaczenie w rozwoju wiary?

- Rodzinne doświadczenie to może być zbyt mało. W osobistym doświadczeniu Boga bardzo ważnym czynnikiem jest wspólnota rówieśnicza. Istotne jest trafienie do takiego środowiska, w którym młody człowiek może doświadczyć żywej wiary i otrzymać szansę na rozwój. Wyjazdy weekendowe, rekolekcje w szkole, w której zwraca się uwagę na wartości chrześcijańskie, przygotowanie w grupach do bierzmowania, grupy dzielenia się Słowem Bożym – bez takiego środowiska, takiego wsparcia, przejście do etapu osobistego doświadczenia wiary może nie nastąpić.

- A co mogą zrobić rodzice, kiedy dziecko przychodzi i mówi, że nie będzie chodzić na religię w szkole?

- Dopóki dziecko mieszka z rodzicami w jednym domu, to mogą oni wymagać chodzenia na religię, tak jak wykonywania pewnych obowiązków. Dotyczy to młodszych dzieci. Mogę podzielić się tu osobistym doświadczeniem. W drugiej klasie publicznego liceum ogólnokształcącego syn zapytał:

„Tato, czy mógłbym nie chodzić na lekcje religii?”. Dwie godziny tygodniowo ustawione były w planie po sobie jako ostatnie między 14 a 17. „Poza tym nic mi nie daje to, co mówi ksiądz” – uzasadnił syn. W takiej sytuacji są dwa rozwiązania. Podjąłem rozmowę z synem w gronie jego rówieśników. Siedliśmy przy stole i zacząłem rozmowę na argumenty. Jeśli będzie coraz mniej uczniów na katechezie, to za chwilę w ogóle nie będzie religii w



szkole. Jeśli będziecie chodzić na katechezę, to za waszym przykładem może przyjść ktoś niewierzący, kto się nawróci. Drugim rozwiązaniem, które zaproponowałem, było zwrócenie się do katechety, że religia im się nie podoba i chcieliby spróbować ją poprowadzić. Kiedy chodziłem do szkoły średniej, tak zrobiliśmy z kolegą – katecheta zgodził się, żebyśmy poprowadzili lekcję.

Syn nie poszedł żadną z tych dróg, nie chodzi na lekcje religii. Zaproponowałem, że w to miejsce będzie chodził dodatkowo w tygodniu na Mszę Świętą. Przystaliśmy na to z żoną; gdyby tego nie zrobił, sam w rozmowie zaproponowałbym podobne rozwiązanie.

Razem z żoną rozmawialiśmy z księdzem, co możemy zrobić w tej sytuacji, kiedy syn nie chodzi na katechezę. Najistotniejsze jest, że korzysta z sakramentów, chodzi na niedzielną Eucharystię, spowiada się. Nie należy zmuszać do chodzenia na katechezę, bo efekt może być odwrotny.

- Czy zajęcia w szkole propagujące gender albo szeroko pojętą tzw. tolerancję mogą wpływać na odchodzenie młodzieży od wiary?

- Takie zajęcia służą rozmiękczeniu i rozmywaniu systemu wartości. Prowadzą do zderzeń z radykalizmem wiary. Młody człowiek z rozchwianym systemem wartości, kiedy będzie miał do czynienia ze zdrową, dobrze ukształtowaną wiarą, będzie przeżywał bunt.

Nawet jeśli tego typu zajęć nie ma w szkole, to „treści równościowe” obecne w me-

diach, przestrzeni publicznej – zwłaszcza w dużych miastach, gdzie wiszą na niejednym balkonie – będą wpływać na świadomość i konstrukcję młodego człowieka. Przez wiedzę religijną, lekturę Pisma Świętego, spotkania w środowisku katolickim karmimy się prawdą. Jeśli tego zabraknie, formują nas inne treści, które do nas docierają.

- Co Pan powie na zarzut, że młodzi odchodzą od wiary, ponieważ Kościół

przegrywa w atrakcyjności z tym, co proponuje im świat, i przestaje odpowiadać na ich problemy i pytania?

- Kościół jest cały czas atrakcyjny, bo jest w nim Chrystus, jest w nim Słowo Boże. Kościół jest perłą, która nie traci na wartości. Ma wiele do zaoferowania młodym ludziom, trzeba tylko szukać form ewangelizacji, która do niego dotrze. Era smartfonów na pewno to utrudnia. Także oskarżanie kapłanów o pedofilię. Dawniej księża organizowali wyjazdy rekolekcyjne dla dzieci, młodzieży, które cieszyły się dużym zainteresowaniem, dziś – z powodu rzucanych pomówień – obawiają się. Organizowanie spotkań z dobrymi rekolekjonistami to za mało. Dociera wtedy słowo, ale samo takie spotkanie nie prowadzi do przeżycia wspólnoty. Doświadczenie wspólnoty jest potrzebne, a żeby taka mogła się zawiązać, trzeba przebywać razem choćby na wędrownicy czy spływie kajakowym.

Dzisiaj zachęcanie do wyjazdu jest trudne. Młody człowiek pyta: „Po co ja tam pojedę, będę się tam tylko modlił?”. Może trzeba organizować wyjazd nie w formule rekolekcji, ale wędrownicy w górach, z codzienną Mszą Świętą.

- Czy tego typu propozycja dla pokolenia wychowanego w kulturze cyfrowej już na starcie nie stoi na przegranej pozycji?

- Młody człowiek ze smartfonem w kieszeni ma poczucie, że w ręku ma cały świat. Jest on dla niego atrakcyjny, bo może wybierać z tej rzeczywistości, co chce i kiedy chce.

Na pewno trudniej wtedy zorganizować wyjazd na weekend w ciszy. Ewangelia zachęca, żeby czasami udawać się na pustynię, żeby usłyszeć głos Boga i doświadczyć Boga. Internet czy cyfryzacja bardzo przeszkadzają w wyprowadzaniu młodego człowieka na pustynię, bo on ma oazę spokoju w smartfonie.

Jeżeli dzieci karmią się przekazem z komunikatorów, mediów społecznościowych, Tik-Toka, Instagrama, to rozmyślenie wartości i relatywizm będą się pogłębiać. Trzeba się zastanawiać, jak to ograniczać, ale bardziej nad tym, jak karmić młode dusze, które korzystają z takiej technologii.

Na pewno trzeba pokazać, co w świecie cyfrowym jest dobre. Moim dzieciom poleciłem aplikację „Modlitwa w drodze”. Rano śpieszą się do szkoły, wiem, że nie ma wtedy porannej modlitwy. W drodze do szkoły młodzież często czegoś słucha. Zachęciłem, żeby jadąc do szkoły, korzystały z tej funkcji pomocnej w modlitwie. Wiem, że syn korzysta. Nie demonizowałbym, że dziś – kiedy mamy większy dostęp do technologii – trudniej jest poznać Boga niż dawniej.

- Jak sobie radzi Pańska szkoła z nadmiernym korzystaniem ze smartfonów przez dzieci, a także z pomysłami wypisywania się z lekcji religii?

- Jesteśmy szkołą niepubliczną, w statucie szkoły wpisane jest, że każdy uczeń zobowiązany jest do uczestnictwa w lekcjach religii.

Od początku wprowadziliśmy założenie, że z telefonu dzieci korzystają tylko w szatni i przed lekcjami. Potem zrobiliśmy kolejny krok, po rozmowach z dziećmi. Przy wejściu na lekcje każde dziecko zostawia telefon w skrzyneczce, może mieć do niego dostęp podczas długiej przerwy.

- Mówił Pan, jak ważna jest osobista relacja z Jezusem. Jak rodzice mogą pomóc nastolatkom, by doszły do takiego etapu?

- Przede wszystkim należy modlić się o osobiste doświadczenie Bożej miłości dla dzie-

cka, o żywą wiarę dla niego. Cały czas jesteśmy świadkami wiary dla dzieci; nawet jeżeli one będą nas kontestować, traktować z przymrużeniem oka czy buntować się, to świadectwo naszej wiary cały czas jest dla nich ważne. Chodzimy do kościoła, przynależymy do jakiejś wspólnoty, wyjeżdżamy na rekolekcje – nasza postawa będzie wpływać na dzieci.

Warto zachęcać dziecko do bycia w wartościowej grupie rówieśniczej. Sami za nich nie wybierzemy, ale możemy sugerować, proponować: „Chodziłem na pielgrzymkę, pojechałem na rekolekcje i tam kogoś poznałem, może byś spróbował?”.

Ważny jest domowy Kościół, gdzie będzie kontakt ze Słowem Bożym. W naszej rodzinie praktykujemy czytanie Pisma Świętego w soboty, jest to dzień wolny od szkoły i pracy. Zapewne nastolatki wolałyby pospać, najchętniej do jedenastej, ale o dziewiątej rano ustalone mamy spotkanie na modlitwie. Przeważnie nie udaje się punktualnie, czym się denerwuję. Niekoniecznie trzeba stawiać na pacierz, modlitwę, ale na tę formę, przez którą chcemy pokazać, że Bóg jest dla nas Osobą, z którą rozmawiamy. Czytamy fragment Biblii, jako rodzice dodajemy do tego komentarz, zastanawiamy się, co do nas mówi Ewangelia z dnia. Mamy dwoje nastoletnich dzieci i troje kilkulatków. Jedno z nastolatków próbuje już odnosić się do czytanego Słowa. Jednocześnie te spotkania służą tworzeniu wspólnoty. Jeśli rodzice mają doświadczenie modlitwy Słowem Bożym, to zachęcam do takich spotkań.

Dodam jeszcze o roli dzieci młodszych. Na wieczorną modlitwę „pacierzową” i swoimi słowami zwołuje nas młodsza córka – nas rodziców, ale także nastolatki, które raczej nie odmawiają. Do tego nasza „prowadząca” modlitwę wyznacza po kolei, kto teraz ma wypowiedzieć jedną modlitwę swoimi słowami. I tak, chcąc nie chcąc, nasza młodzież wpływa na głębię modlitwy.

Irena Świerdzewska



Doświadczyć Boga w więzieniu

W kwietniu 1950 r. zgradowienie Sióstr od Aniołów zostało zdekonspirowane i uznane za tajną organizację, działającą przeciw władzy sowieckiej. Aresztowaniem s. Wandy Boniszewskiej i s. Rozalii Rodziejewicz w Pryciunach rozpoczął się exodus dwudziestu sióstr na Syberię. Pierwszym przystankiem było więzienie na Łukiszkach. Najmłodsza siostra liczyła lat 25, najstarsza – 56. Były to siostry w wieku produkcyjnym, nadawały się do pracy w obozie, za wyjątkiem chorej Wandy Boniszewskiej, która cały czas przebywała na prawach chorej.

Więzienie w Wilnie kończyło się ogłoszeniem wyroku sądowego zapadającego zazwyczaj w Moskwie.

Skazane siostry przebywały głównie w trzech rejonach: w Komi – republice północno-wschodniej europejskiej części Rosji, tam 80 km od Oceanu Lodowatego leży Workuta w peczarskim zagłębiu węglowym; we Wschodniej Syberii – w obozach tajszeckich w obwodzie irkuckim 500 km od jeziora Bajkał oraz w Kazachstanie w obwodzie karagandyjskim. Niektóre w ostatnim okresie przerzuczone były do Mordowskiej republiki, pod Moskwą. Pierwsza siostra została zwolniona w październiku 1954 roku, ostatnie wróciły w listopadzie 1956 roku, na święto Matki Bożej Ostrobramskiej.

I. Doświadczenie Boga we wspomnieniach sióstr

O doświadczeniu Boga mówił św. Jan Paweł II na audiencji generalnej 20.09.2000 r.:

- chrześcijańskie doświadczenie Boga może się rozwijać przy całkowitej zgodności z Ewangelią;

- kto doświadcza Boga, ten cieszy się doświadczeniem dziecięctwa wobec Niego;

- kto doświadcza Boga, ten zwraca się do Niego z ufnością;

- kto doświadcza Boga, ten w komunii łaski z Trójcą Świętą doznaje rozszerzenia się własnej „wewnętrznej przestrzeni życiowej” – duch ludzki otwiera się wobec uświęcającego samo otwarcia się Boga.

Te kryteria niech posłużą do analitycznej prezentacji fragmentów wspomnień wyżej wymienionych sióstr.

1. Obcowanie z Bóstwem poprzez praktykę cnót Boskich, w odczuwaniu Jego opatrności.

Owoce praktyki cnót Boskich jest pokój serca, który jest darem Zmartwychwstałego dla każdego człowieka. Pokój serca w życiowym powodzeniu to nie mała łaska, pokój w przeciwnościach – to wielki dar Boga, po którym ludzie rozpoznają Jego uczniów.

„Gdy miałam takie zewnętrzne radości (nawracali się

nadzorcy s. Wandy), to w duszy milczenie – nic a nic zrozumieć nie mogłam, ale modliłam się. Skorzystałam z pozwolenia i z udzielonego mi kawałka papieru i koperty i napisałam do Hani i Loni Łakis, prosząc o przysłanie mi pieniędzy na cukier i na suszone owoce, żebym mogła jako tako życie podtrzymać. Czyż to nie Opatrzność Boża?”

„Nasze długie trwanie na kłęczkach co dnia i wzorowe zachowanie przepisów, a szczególnie spokój i równowaga zaintrygowały dozorczynię, miłą dziewczynkę rosyjską. Ciągłe nas obserwowała, raz wraz spoglądając przez szklane oczko do naszej celi. Wreszcie nie wytrzymała. Otworzy okienko we drzwiach naszej celi zaczęła poufnie rozmawiać, co jest w więzieniu zjawiskiem niezwykłym. Pyta nas: jakiej jesteście narodowości? Odpowiedziałyśmy, żeśmy Polki. »Ale jak zgodnie żyjecie! Aż miło patrzeć«. Na następnym dyżurze znów okienko się otwiera i „niania” wdaje się z nami w rozmowę, podziwiając nasz spokój i równowagę. »Wygląda, że jesteście zadowolone z losu, a przecie czeka was Sybir«. Odpowiedziałyśmy, że jesteśmy katoliczkami, wierzącymi. Sybir nam nie straszny, bo i tam Boga znajdziemy i jesteśmy pewne, że On nas nie opuści, więc czego się martwić? Niech się martwią ci, co Boga nie chcą uznać – dla nas On był, jest i będzie zawsze Ojcem. Sąsiadka zaś nasza, Żydówka, będąca świadkiem tej rozmowy, przez długi czas siedziała nieruchomo, coś przemyśliwając, wreszcie się odezwała: »Chciałabym się tak modlić, jak wy się modlicie, lecz szczerze nie potrafię, a sztucznie – nie chcę«.

Pogoda ducha, z jaką siostry wspominają ciężkie warunki więzienia i zesłania, muszą budzić w czytelniku refleksję, gdzie były dla nich źródła pokójku? Nie był on wszakże rzeczą naturalną.

2. Doświadczenie Bożego dziecięctwa i ludzkiego braterstwa we wspólnocie na mocy słów Ewangelii: „Miłujcie się wzajemnie, tak jak Ja was umiłowalem” (por. J 13, 34).

„Poznałam wtedy, jak wielka to Łaska Boża, jeśli się ma w nieszczęściu jakąś bliską, życzliwą duszę przy sobie. Z całego też serca dziękowałam Bogu, że tu, na wygnaniu, nie jestem całkiem samotna”.

„Z początku zastanawiałam się, czy wypada zakonniczy za kratą więzienną bawić towarzyski opowiadaniem, lecz sumienie szepotało, że i Chrystus używał przypowieści, a więc i mnie za złe nie weźmie tego sposobu wpływania na ludzi. Tym bardziej, że się starałam zawsze niezmiernie potracić o sprawy Ojca Niebieskiego, szczególnie wtedy, gdy spo-

strzegłam u moich słuchaczek większe zainteresowanie. Chyba nie zawiniłam, bo sumienie i dziś nic mi nie wyrzuca, a moje współtowarzyszki niedoli nawet po kilku latach spotkały się ze mną i mówiły, że nie zapomniały tego, co im wówczas opowiadałam i że w życiu wygnańskim, w dalekiej Syberii krzepiły się wspomnieniem budujących przykładów opowiadanych w celi nr 3”.

„Przez cały czas pobytu w Syberii starałam się każdemu

ćwiczenia odbyć, reszta – na dobre uczynki. Za robotę swoją nic nie biorę. Robię za darmo i tym ogromnie zadziwiam swe towarzyszkę. »Co z niej za człowiek? Jakiej narodowości? Czyż ona tak bogata, że niczego nie potrzebuje?« – Nie widziano, żeby w lagrze ktoś za darmo wyświadczył przysługę. Tymi drobnymi przysługami zjednałam sobie przychylność towarzyszek, które okazywały mi swą wdzięczność i były zawsze grzeczne względem



zawsze ustąpić i dobrze na tym wychodziłam. Bardzo mi się podobało, że tu pozwalają się podzielić chlebem z towarzyszami niedoli, w więzieniu było to zakazane a odchylenia karano karcerem”.

„Leżąc słyszę, jak jedna z moich sąsiadek głośno się skarży, że ma zbyt krótkie stopy skarpetek i nie może ich nosić. Obudziło się we mnie serce trykotarskie i obiecałam jej usłużyć, czemu ona jakoś nie bardzo uwierzyła. Podłożyła stopy to drobnostka, ale skąd wziąć narzędzia do tej roboty? Zwierzyłam się z mojej troski siostrze Rózi Rodziejewicz, a ona taka sprytna, znalazła gdzieś pod płótem kawał żardzewiałego drutu i z niego zrobiła mi (jak na sybirskie warunki) wspaniałe narzędzie trykotarskie. Fik, mik i Marynia, siedząc na pryczy już miga drutami. Moje towarzyszkę z początku robiły wielkie oczy, a potem sypnęły się obstalunki. Każdej coś trzeba, a tyle ich jest tutaj, na dziesięć par rąk wystarczyłoby roboty. Już tworzy się kolejka i same klientki pilnują porządku, by się ktoś nie prześlancował – niech staje w ogonku i czeka. A ja tymczasem zawzięcie macham drutami od rana do wieczora. Czasu wolnego ani na lekarstwo – daj Boże tylko obowiązkowe

mnie. I tak więzaniem na drutach rozpoczęłam swą pokutę w lagrze. To był wstęp do życia wygnańczego i pierwsza próba zbierania zasług, jakby pierwszy „grosz” wrzucony do kasy na wieczność. Ja sama za czas pobytu w Syberii zrobiłam swym towarzyszkom niedoli 18 swetrów, 2 duże chustki do okrycia, 2 mniejsze na głowę, kilka bluzeczek, a skarpetek, rękawic i nie zliczę”.

(...) »Chore będące świadkami tej sceny radziły mi nie darować tego, lecz poskarżyć się lekarzowi na Tonię, lecz ja obrałam inny, bardziej chrześcijański sposób zemsty i z myślą tą nosiłam się przez parę tygodni. Mianowicie: przemyślałam, czym by się tej twardej, szorstkiej, nieludzkiej istocie przysłużyć, ale tak, żeby ona to poczuła. Niedługo i sposobność się nadarzyła. Jakaś chora robiła dla Toni koronkę szycielką. Ledwo kilka zębów koronki było zrobionych – chorą wypisano i natychmiast wezwano do etapu. Odjechała. Tonia w kłopcach: obchodzi wszystkie sale, czy kto nie mógłby dokończyć roboty?... Nikt nie umie, a może nie chce takiemu „zwierzakowi” świadczyć usługi. Gdy ja się na to ofiarowałam – spojrzęła nieufnie, krzywym okiem, ale robotę dała, bo innego wyjścia nie było. No i zrobiłam

koronki przeszło dwa metry, a od tej „twardej Toni” dostałam za to całusa i cukierek”.

„W najwyższym stopniu można praktykować miłość bliźniego w życiu wspólnym. Wszędzie nas dużo w baraku jak śledzi, na pracy, w stołowym itd. Wszędzie apostolstwo dobrego przykładu, uprzejmość, grzeczność, cierpliwość. Miłość bliźniego można praktykować w heroicznym stopniu względem duszy i ciała, a szczególnie względem duszy. To też nasze kochane Siostry prześcigały się w niesieniu pomocy tym biednym zboliałym sercom. Dobre słowo, zachęta, pocieszenie w smutku w rozpaczce, w rozgoryczeniu”.

„Będziemy razem!... Mój Boże, być razem choćby tylko z jednym członkiem rodziny, co za szczęście! Dawniej ciążyło mi nieraz towarzystwo sióstr, wolałam być sama... Od dwóch lat nie obcuje już z siostrami, odpokutowując dawne niezadowolona z życia wspólnego i dziś niezmiernie się cieszę, że choć jedną z sióstr będę miała blisko”.

„Tam obłądy nie było każdy był takim jakim był”.

Powyższe fragmenty wspomnień obrazują, jak siostry starały się dostrzegać Boga w każdym człowieku – towarzyszu niedoli, czy obsłudze więziennej i jak owocował przykład miłości i bezinteresownej dobroci w syberyjskich lagrach.

3. W praktyce pobożności, przyjmowaniu sakramentów, realizacji ślubów zakonnych i charyzmatu zgromadzenia.

Wybrane fragmenty wspomnień wyświełają praktyki religijnej kultu realizowane w modlitwie indywidualnej, wspólnotowej, realizacji ślubów i charyzmatu Zgromadzenia.

• Praktyka indywidualnej modlitwy

„Ja klękałam zwykle naprzeciw drzwi i najspokojniej odprawiałam ranne rozmyślanie, naturalnie z pamięci – podręczników nie było. Z początku myślałam, że mi zabronią tak otwarcie, na kłęczkach, każdego rana pół godziny trwać. Dozorca zaglądał do celi, lecz mnie nie ruszał. Potem się dowiedziałam, że w więzieniu zabroniona jest tylko modlitwa wspólna, zbiorowa – indywidualnej modlitwy nikt więźniom nie bronii, najwyżej szydzą z niej”.

„Na rozmyślanie zawsze miałam czas, wcześniej wstawałam i póki wszyscy śpią modliłam się, przy pracy modliłam się w przerwach, w odpoczynkach, w drodze, w szpitalu i w baraku wówczas gdy przez 10 miesięcy mieszkałam ze słabymi i przede wszystkim na pierwszy plan stawiałam modlitwę. Modlitwą żyłam, na modlitwie dobrze się czułam, na wszystkie trudności, wątpliwości co do swego Zgromadzenia, ojczyzny, rodziny →

Kiedy do egzorcysty?

Egzorcyzmy intrygują. Dla jednych to przejaw głupoty i zacofania rodem ze średniowiecza, dla drugich fascynujący dowód na istnienie zła osobowego, które opanowuje człowieka.

Pozytywny lub negatywny stosunek do egzorcyzmów wcale nie musi idealnie pokrywać się z linią podziału na wierzących i niewierzących w Boga. Coraz mocniej rozkłada się na linii wierzący/niewierzący w istnienie osobowego zła.

PRZYPADK ANNELEISE MICHEL

Potwierdza to najbardziej medialny przypadek opętania Anneliese Michel, niemieckiej katoliczki, która w latach 70. ubiegłego stulecia przez kilka miesięcy była poddawana egzorcyzmom. Zmarła, nie doczekawszy się uwolnienia. Po jej śmierci rozgorzała dyskusja na temat rzeczywistych przyczyn zgonu. Dwaj księża pełniący posługę egzorcystów oraz rodzice zmarłej zostali nawet oskarżeni i skazani za nieumyślne spowodowanie śmierci młodej kobiety, a media i duża część opinii publicznej okrzyknęły ich później „katolickimi fundamentalistami”. Rodziców krytykowano za to, że do końca uznawali wpływ złego ducha na zachowanie i stan swojej córki. Księży za to, że zgodnie z poleceniem biskupa i tradycją Kościoła modlili się o uwolnienie młodej kobiety.

W tej sprawie wypowiedali się specjaliści z dziedziny psychologii i psychiatrii, teolodzy świeccy i duchowni, hierarchowie kościelni i zwykli księża. Pytano, co doprowadziło do zgonu. Zwolennicy „teorii medycznej”, którzy stanowili zdecydowaną większość, mówili o objawach epilepsji, odstawieniu leków i wyczerpaniu wielogodzinnymi sesjami modlitewnymi. Zwolennicy „teorii duchowej”, należący do mniejszości, wskazywali na działanie złego ducha i wyczerpanie w wyniku walki duchowej, której przebieg został uwieczniony na taśmach magnetofonowych przez uczestników egzorcyzmów.

Koniec końców, w Kościele w Niemczech zapadły decyzje, które zamknęły drogę dla tej posługi duchowej w formie praktykowanej przez Kościół katolicki od wieków. Na kanwie historii Anneliese Michel powstało natomiast kilka filmów. Jeden z nich, „Egzorcyzmy Emily Rose”, najbardziej naszpikowany „efektami specjalnymi” film z 2005 r., przyczynił się do upowszechnienia czarnej legendy opętania i egzorcyzmów. W

duchu płytkiego racjonalizmu uznano na Zachodzie, nawet w środowiskach kościelnych, że opętanie to przejaw problemów psychicznych, na które medycyna jeszcze nie znalazła środka zaradczego. W tym świetle posługa uwalniania, będąca częścią Tradycji wywodzącej się z samej Ewangelii – wszak Jezus nazywał rzeczy po imieniu i prowadził ludzi do wolności od wpływu zła – stała się zabobnym i szkodliwym rytuałem. Księży egzorcystów odsądzono od czci i wiary jako szarlatanów.

Wydaje się, że taki przypadek, jak Anneliese Michel – po ludzku niewyjaśniony i tragiczny w skutkach – był potrzebny szafarzom nowej wizji rzeczywistości duchowej. Na istnienie Boga się zgodzimy, na istnienie Jezusa też. Gdzieś w świadomości mas może tlić się wizja obecności aniołków, takich dobrodusznym opiekunów z obrazków dla małych dzieci. Ale stanowczo nie chcemy przyznać, że jest osobowe zło, które próbuje zniszczyć człowieka i odciągnąć go od źródła życia i zbawienia, którym jest Jezus Chrystus. Szatan nie istnieje, mówią współcześni. W gronie osób wygłaszających taki sąd są także duchowni.

WYKLĘCIE ZŁEGO DUCHA

Pismo Święte wyraźnie wskazuje nieprzyjaciela naszego zbawienia i podsuwa środki do obrony przed jego złowrogim wpływem. Jednym z głównych środków, którym możemy się posłużyć, są egzorcyzmy. Warto wiedzieć, że egzorcyzm w Kościele niejedno ma imię. Słowo wzięło się z języka greckiego i można je dosłownie przetłumaczyć na polski jako „wyklęcie”.

Za każdym razem, kiedy człowiek ochrzczony podejmuje modlitwę o nawrócenie i uwolnienie od wpływów zła, już dokonuje się „wyklęcie” złego ducha. Taki rodzaj modlitwy zalicza się do egzorcyzmów prywatnych. Jest to po prostu modlitwa wstawiennicza (zwana również modlitwą o uzdrowienie), którą zanosimy do Boga w intencji swojej lub drugiego człowieka. Może być praktykowana w jakiejś wspólnoty z towarzyszeniem kapłana. Może też być odmawiana w domu przez wierzących, pozostających w stanie łaski uświęcającej. Zwłaszcza kiedy dotyczą nas pokusy i strapienia duchowe, z którymi nie umiemy sobie poradzić, powinniśmy praktykować modlitwę o uzdrowienie duchowe.

Niekiedy w takiej modlitwie wykorzystuje się – jako znak

Bożej obecności i mocy – egzorcyzmowaną wodę, sól czy olej. Należy pamiętać, że są to sakramentalia, które nie działają jak automat. Bez wiary i modlitwy mogą być zwodnicze. Bóg nie chce działać, kiedy zanurzamy się w efekciarskiej cudowności. Egzorcyzmowane woda, sól czy olej mają nas jeszcze bardziej usposobić do zaufania w Bożą moc i umocnić w nas wiarę w Słowo, które oczyszcza serca. Wtedy warto z nich skorzystać.

W przypadkach, kiedy brak Bożej odpowiedzi na modlitwy o uwolnienie, może być potrzebna posługa egzorcysty. On ma prawo i władzę do odprawienia tzw. egzorcyzmu uroczystego (zwanego również wielkim lub publicznym). Jest to egzorcyzm w sensie ścisłym. Czyli takie działanie, w którym egzorcysta, angażując bezpośrednio autorytet Jezusa Chrystusa, modli się i nakazuje złemu duchowi opuszczenie osoby opętanej. Dokonuje się go w oparciu o rytuał rzymski, w którym krok po kroku egzorcysta z pomocą zespołu prowadzi modlitwę.

KIM JEST EGZORCYSTA?

Zwyczajnie egzorcystą jest tylko biskup. Dlaczego? Ponieważ tak jak apostołowie

umie posługiwać się rozumem. Życie księdza egzorcysty musi odznaczać się wysokim poziomem moralnym. Jeszcze bardziej niż pozostali kapłani i wierni świeccy jest on narażony na ataki złego ducha. Kiedy jest w stanie łaski uświęcającej i żyje w przyjaźni z Jezusem, nie zginie. Nałogi, wewnętrzne splątanie, jakieś zniewolenie – to z kolei mętna woda, w której łowi Zły, chcąc doprowadzić do kompromitacji księdza.

Na barkach egzorcysty spoczywa obowiązek oceny, czy człowiek, który przychodzi do niego ze swoim problemem, rzeczywiście potrzebuje tej posługi. W dużej części przypadków, o czym zaświadczył jeden z polskich egzorcystów, z którym rozmawiałem przed napisaniem tego artykułu, ludzie mają mylne rozeznanie swoich potrzeb. Niezdiagnozowane zaburzenia psychiczne utożsamiają z działaniem złego ducha. Tu sprawę załatwia psychiatra lub psycholog. Dlatego do dobrej praktyki należy odsyłanie osób proszących o pomoc najpierw do specjalisty.

W procesie rozeznawania rzeczywistego stanu duchowego niezbędna jest sumienna spowiedź oraz Komunia Święta. W sakramentach Jezus leczy każdego, kto przychodzi

i opętanie są czymś większym niż „zwykłe” doświadczenia duchowe. Osoba zniewolona to ktoś, kto przebywa na łańcuchu swojej wady, z którą bardzo chce się rozstać. Próbuje, ale nie może. Spowiada się, modli, prosi Boga o pomoc. Jest jakby bezradny, czyli właśnie zniewolony. Opętanie jest czymś jeszcze trudniejszym. Człowiek opętany „oddaje” złemu duchowi kontrolę nad sobą. A dokładnie traci ją. Niekiedy w momentach, kiedy chciałby tego uniknąć. Zauważa w sobie te objawy i wtedy zaczyna szukać pomocy.

W przypadku opętania dochodzi niekiedy do manifestacji Złego. Marcin, jeden z pomocników egzorcysty, zauważa, że manifestacje demoniczne są najwyraźniejszym objawem opętania. Podczas jednego z egzorcyzmów mężczyzna, do pewnego momentu wyglądający na zwykłego trzydziestokilkulatka, zaczął ryczeć nieludzkim głosem, jego oczy zmieniły kolor, a z ust wydobywała się ciecz o konsystencji zielono-brunatnej mazi, na zmianę z okrzykami w różnych językach, których ten człowiek wcześniej się nie uczył. Manifestacje, choć są spektakularne i mogą wzbudzać niezdrową ciekawość, pokazują, że rzeczywi-



dysponuje władzą duchową udzieloną przez Zbawiciela. W tym mieści się władza panowania nad złym duchem, któremu biskup może w bezpośredni sposób wydawać rozkazy, nakazując ujawnienie się i opuszczenie osoby opętanej. Biskup może, kiedy istnieje taka konieczność, delegować ją na „zwykłego kapłana”.

Przekazywanie władzy duchowej „zwykłemu kapłanowi” określa kanon 1172 kodeksu prawa kanonicznego. Księża egzorcysty mają odznaczać się „pobożnością, wiedzą, roztropnością i nieskazitelnością życia” (kan. 1172 KPK). Egzorcysta ma być kimś, kto głęboko wierzy w Boga, wie dużo o życiu duchowym i psychicznym człowieka oraz

do Niego z wiarą. Osoba, która mówi, że doświadcza w jakiś sposób zniewolenia duchowego lub opętania, powinna uciekać się najpierw do najbardziej skutecznych i zarazem zwyczajnych środków. Kiedy to nie pomaga, po przeprowadzonym wywiadzie egzorcysta może zdecydować, jakiej formy modlitwy potrzebuje osoba potrzebująca. Jeśli jest zdrowa na umyśle, ma wiarę i wyraża chęć, może poddać się egzorcyzmowi wielkiemu.

OPĘTANI I ZNIEWOLENI

Egzorcyzmy dotyczą ludzi opętanych i zniewolonych. Czym to się różni? Normalną częścią życia duchowego jest walka ze złem. Doświadczamy pokus, udręczeń duchowych, lęku czy zamętu. Zniewolenie

zła osobowego istnieje. Bez względu na to, czy to uznajemy, czy nie.

Dzisiaj, może nawet bardziej niż kiedyś, potrzeba mądrego podejścia do tematu egzorcyzmów. Jezus Chrystus objawił w Ewangelii, że zło może niszczyć człowieka. Tylko On jest w stanie pomóc opętanemu. Nie zrobi tego nawet najlepszy psycholog czy najbardziej kochający bliski.

Ale Zły wie również, że niezdrowa fascynacja egzorcyzmami wiąże ręce egzorcystów, którzy niekiedy muszą walczyć nie tylko z nieprzyjacielem naszego zbawienia, lecz także z ludźmi nominalnie wierzącymi.

Ks. Łukasz Piotrowski

Dziękuję, nie piję

W młodości skończony alkoholik, złodziej i awanturnik. Później abstynent i pokutnik. Tak mógłby wyglądać skrócony biogram prostego irlandzkiego robotnika, który pokonał alkoholowy nałóg. Co sprawiło, że Matt Talbot w tak radykalny sposób się zmienił?

Pewnego sobotniego ranka 1884 roku, przy ulicy North Strand, przed dublińskim pubem O'Meara, Matt Talbot przestępował nerwowo z nogi na nogę, rozglądając się wokół, z nadzieją na nadejście sponsora, który pomoże mu zaspokoić głód alkoholowy. Matt od tygodnia pozostawał bez pracy i bez pieniędzy, w nie lepszej sytuacji był towarzyszący mu młodszy brat Filip. Koledzy zawsze mogli liczyć na Matta, gdy ten miał pieniądze. Teraz mijali go jeden po drugim, odbąkali na jego pozdrowienia, patrzyli obojętnie, a nawet podśmiewali się pod nosem. Z wolna narastało w nim poczucie upokorzenia, nie wytrzymał i, zobaczywszy jednego ze swoich dobrych kumpi, zapytał nieśmiało, czy ten nie postawiłby mu szklaneczki najpodlejszej whisky:

– Ty świni! – odpowiedział dawny kompan od kielicha i minął go z pogardą.

Matt zacisnął zęby, czując w ustach gorzyc. Zdał sobie sprawę ze swojej nędzy.

– Idę do domu – wyduśił i bez zawahania poszedł, zostawiając zdziwionego Filipa.

Ta chwila, gdy poczuł się podle – odrzucony, wyśmiany i zlekceważony – była, jak okazało się później, przełomem w jego życiu.

DROGA NA DNO

Matt po raz pierwszy spróbował alkoholu w wieku 12 lat. Nie pomogły groźby ojca, bicia, przenosiny z jednej pracy do drugiej: młodzieniec, a raczej chłopiec, wciąż zaglądał do kieliszka, co w rodzinie Talbotów było rzeczą normalną – pił ojciec i niemalże wszyscy jego synowie (przed nałogiem uchronił się tylko najstarszy). Po pijaku, nie zważając na błagania matki, potrafili przewrócić dom do góry nogami. Rodzina przeprowadzała się jedenaście razy w ciągu dwudziestu lat! W końcu kto chciałby mieć takich lokatorów czy sąsiadów?

W swojej pierwszej pracy Matt zasmakował w piwie i winie – firma Edward and John Burke zajmowała się handlem tymi trunkami. Część wynagrodzenia, które otrzymywał, pracodawca wypłacał

w bonach na wspomniane napoje wysokokowe, co było dodatkową zachętą dla nieletniego pracownika. Wściekły ojciec przeniósł go do pracy w porcie – Matt odrzucił piwo i wino na rzecz... whisky. Po dwóch latach znów zmienił fach i zaczął pracować jako murarz. Ani przez chwilę nie przestał pić i wydawało się, że nie ma już odwrotu od nałogu.

Przez szesnaście lat przepijał wszystko. Jego matka, Elisabeth, płacząc, prosiła, by przestał, ojciec przenosił go z jednej pracy do drugiej, zmuszając do zmiany środowiska – nic nie pomagało. Matt żył już tylko po to, żeby pić. Na alkohol wydawał wszystkie pieniądze, a jeśli tych zabrakło, zastawiał swoje rzeczy, np. buty. Zaczął upijać się na kredyt. Nadszedł czas, że i tego nie wystarczało – pewnego dnia zastawił w lombardzie skrzypce bezdomnego skrzypka, który przyłączył się do gromady kolegów-pijaków.

Z przyzwyczajenia chadzał jeszcze na niedzielną mszę i czynił znak krzyża, wychodząc do pracy. Przez kilka lat nie przystępował do sakramentów. Staczał się na dno, bez nadziei na zmianę i lepsze jutro.

Elisabeth, matka dwanaściorga dzieci, znosiła wszystko pokornie, tylko dzięki niej rodzina się nie rozproszyła. Była osobą pobożną – wszystkie swoje troski zawierzała Bogu, modląc się godzinami. Jej cierpliwość została wynagrodzona.

NOWE ŻYCIE

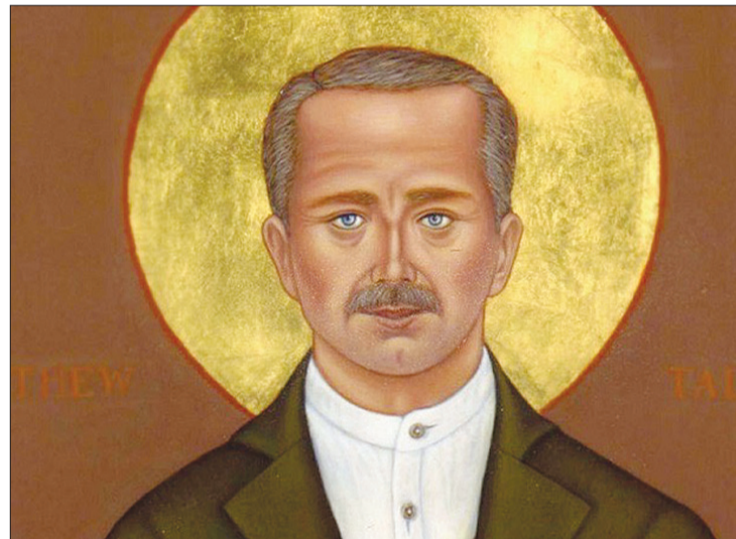
Któregoś dnia Matt wrócił do domu przygnębiony, milczący i... trzeźwy. Niechętnie odpowiadał na pytania zdziwionej matki. Zjedli wspólnie obiad, po którym syn w końcu oznajmił: „Pójdę teraz do księdza złożyć ślubowanie abstynencji”. Elisabeth zdawała sobie sprawę, jakim przekleństwem jest nałóg alkoholowy, i nie wierzyła, że jej syn będzie miał na tyle sił, by po szesnastu latach picia całkowicie odmówić sobie alkoholu. Powiedziała mu, że może przysiąc tylko wtedy, gdy będzie przekonany, że wytrwa w trzeźwości.

Matt poszedł do kościoła, po raz pierwszy od trzech lat się wypowiadał. Przysięgł przed kapłanem, że nie sięgnie po alkohol przez najbliższe trzy miesiące – naprawdę nosił się z zamiarem dożywotniego wyrzeczenia się alkoholu, ale ksiądz, który wcześniej sam walczył z tym problemem, zasugerował, by na początek

wyznać sobie krótszy okres. Po trzymiesięcznej abstynencji Matt ponowił przyrzeczenie na rok. W końcu dał słowo przed Bogiem, że wyrzeka się alkoholu na całe życie. W swoim postanowieniu wytrwał do śmierci – czterdzieści jeden lat.

TRUDNE POCZĄTKI

Ile kosztowała go ta przemiana, wiedzą tylko ci, którzy zmagali się z nałogiem al-



koholowym. Podczas pierwszych miesięcy abstynencji powiedział do swojej siostry: „Łatwiej jest przywrócić do życia umarłego, niż przestać pić, będąc alkoholikiem”. Matka Matta wspominała, że początki nowego życia były dla jej syna najtrudniejsze. Wielokrotnie wracał do domu przygnębiony, wąpił w swoje ostateczne zwycięstwo w walce z nałogiem.

Bracia oddalili się od niego, gdy próbował wyciągnąć ich ze zgubnego nałogu. Zbliżył się natomiast do matki – zdał sobie sprawę, jak wielką krzywdę wyrządzał jej przez te wszystkie lata i starał się wynagrodzić doznane cierpienia.

Uporczywie szukał biedaka, którego skrzypce kiedyś przepił. Przetraszał wszystkie przytułki i domy noclegowe Dublinu – bezskutecznie. Człowiek, któremu wyrządził krzywdę, prawdopodobnie już nie żył – Matt poprosił księdza o odprawienie kilku mszy za spokój jego duszy.

MODL SIĘ I PRACUJ

Jaka siła pozwoliła wytrwać Talbotowi w trzeźwości? Unikał pubów, w ogóle nie nosił ze sobą pieniędzy – wiedział, że najmniejsza dawka alkoholu wywoła burzę i będzie jego ostateczną porażką. Po pracy szedł do kościoła, gdzie spędzał całe wieczory. Przyjął praktyki irlandzkich świętych z pierwszych wieków chrześcijaństwa: spał na desce, pod głowę podkładając kawałek drewna. W czasie Wielkiego Postu jadł suchy chleb, ryby

i pił gorzkie kakao. Ustalił ścisły porządek dnia – w myśl zasady *ora et labora* – tak, że po prostu nie miał czasu na wizyty w knajpie.

Codziennie o piątej rano uczestniczył w Mszy świętej. Pracę zaczynał o szóstej. Gdy Mszę przeniesiono z godziny piątej na szóstą piętnaście, wołał zmienić pracę, niż zrezygnować z wczesnej Eucharystii. Kiedyś odmówił

nie zatrzyma, kiedy Pan mnie wezwie”.

Zmarł 7 czerwca 1925 roku, w niedzielę Świętej Trójcy, w drodze na mszę świętą, na bruku ulicy Granby. Nikt go nie rozpoznał, ciało zidentyfikowano dopiero po czterech dniach. Podczas przygotowań do pogrzebu odkryto pod jego ubraniem dwa żelazne łańcuchy, które, pokutując, nosił przez dziesięć lat.

Najważniejszą lekturą Matta było Pismo Święte. W Starym Testamencie ukochał szczególnie Psalm 51, w Nowym – napomnienia Jezusa o poście i modlitwie. Gdy czegoś nie rozumiał, w czasie spowiedzi pytał kapłana o wykładnię. Wieczorami czytał dzieła teologiczne, np. św. Franciszka Salezego. W jego bibliotece znaleziono trzydzieści życiorysów świętych – szczególnie cenił tych, którzy, jak on, porzucili grzeszne życie i doświadczyli przemiany (Małgorzata z Kortony, Maria z Egiptu).

W jego pokoiku znaleziono także kartki z zapiskami. Oto jeden z nich: „O najśłodszy Jezu, zniszcz we mnie wszystko, co jest złem, niech to wszystko złe obumrze. Zniszcz we mnie wszystko, co jest występne i samowolne. Wyniszczone wszystko, co Ci się nie podoba we mnie, usuń wszystko, co jest moje własne. Daj mi prawdziwą pokorę, prawdziwą cierpliwość i prawdziwą miłość. Użyj mi doskonałego panowania nad moim językiem”.

APOSTOŁ TRZEŻWOŚCI

Pogrzeb odbył się w Boże Ciało 1925 roku. Matta złożono do prostego grobu na cmentarzu Glasnevin w Dublinie, w habicie Trzeciego Zakonu św. Franciszka, do którego należał.

Rok później sir Joseph Glynn napisał o nim małą broszurę, która cieszyła się ogromną popularnością. W 1927 roku krótki życiorys przetłumaczono na dwanaście języków, a wydanie anglojęzyczne sprzedano w stu pięćdziesiątym nakładzie!

Matt Talbot nie zdobył wykształcenia, majątku ani sławy za życia. Był prostym, niewyróżniającym się robotnikiem i właśnie dlatego dane przez niego świadectwo jest szczególnie, a jego życiorys może być inspiracją dla tych, którzy próbują wyrwać się z sideł nałogu. To oni najzarliwiej modlą się o jego rychłą beatyfikację i kanonizację.

Marcin Piątek

Miałem pretensje do lekarzy, że mnie uratowali

Mój osobisty koniec świata

Po blasku chwały przychodzi powiew wiatru w policzek. Później usłyszałem takie brzęczenie, to był szum modlitewny. Z czasem, to znaczy tam nie ma czasu, zaczęły się wyłaniać słowa kolejnych modlitw, które były w mojej intencji – opowiada Andrzej Duffek, który przeżył śmierć kliniczną.

„Czy świadkowie życia po śmierci mówią prawdę?”. Takie pytanie zadał sobie ks. Wiktor Szponar, obecnie wikariusz parafii św. Brata Alberta w Gdańsku, a wcześniej dziennikarz i reporter telewizyjny. Jego książka „Życie po śmierci. Teologiczne śledztwo” to efekt spotkania, dociekań, analiz. Poniżej możecie przeczytać fragment tej publikacji – to rozmowa ks. Wiktora Szponara z Andrzejem Duffekiem.

- Proszę opowiedzieć o wypadku

- Obiecałem synowi, że jak będzie padał śnieg, pójdę z nim na sanki. Żona powiedziała, że mamy pół godziny do obiadu, więc poszliśmy na pobliską górkę. W czasie ostatniego zjazdu uderzyłem w drzewo. W pierwszej chwili pomyślałem, że mam połamaną żebra. Ból był dość mocny. Myślałem, że żebra mi coś przebiły.

Jak się później dowiedziałem, żebra przeniosły siłą uderzenia na wątrobę i nastąpił jej wielofragmentowy rozpad. Przypuszczałem, że przez wewnętrzny krwotok krew nie dopływa mi do mózgu i czułem, jak tracę przytomność. Próbowałem jeszcze uspokoić swojego synka. Ludzie na sankach przetransportowali mnie przez Park Oruński do ulicy. Byłem jeszcze przytomny, ale nie mogłem dodzwonić się na pogotowie, więc zadzwoniłem do żony i poprosiłem ją, żeby ona wezwała pomoc.

Karetka przyjechała dość szybko. Jednym z sanitariuszy był mój kolega. Kiedy zobaczyłem, jak jest zdenerwowany, zdałem sobie sprawę z powagi sytuacji. Niestety, karetka nie chciała odpalić. Mój kolega w dużych nerwach wręcz wypchnął kierowcę, rozwalił stacyjkę i odpalił karetkę „na krótko”. Pamiętam szaleńczą jazdę traktem św. Wojciecha oraz komunikaty „proszę przygotować stół operacyjny”, „jest wewnętrzny krwotok”, „nie daj mu usnąć!”. W karetce czułem się bezpieczny, ale kiedy zamykałem oczy, policzkowano mnie, a nawet kluto igłą. Kiedy dojechaliśmy do szpitala, pamiętam nad-

biegający sztab medyczny z łóżkiem transportowym i kroplówką. Rozcięto ze mnie ubranie i podano formularz, którego już nie byłem w stanie do końca podpisać. Wtedy straciłem przytomność.

To jest moment, w którym nie ma już z nami kontaktu, ale jeszcze jesteśmy na ziemi. To jest najważniejszy moment w życiu poza chrztem. To jest ostatnia chwila, kiedy akt woli ma jeszcze jakiegokolwiek znaczenie. W tym sensie, że rodzi konsekwencje. Wtedy byłem jeszcze w ciele. To jest moment, kiedy po raz ostatni aktem własnej woli możemy się nawrócić, poprosić Boga o miłosierdzie. Wtedy poprosiłem Boga: „Panie, daj mi dziesięć lat, żebym wychował syna”. Przypomniałem sobie słowa księdza dziekana Andrzeja Rurarza, który, jak byłem małym ministrantem, powiedział mi: „Andrzejku, jak kiedyś znajdziesz się w takiej sytuacji w życiu, że nic nie będzie od ciebie zależało, to zdam się na Pana. Powiedz: Niech się Twoja, a nie moja wola stanie”. Tak właśnie zakończyłem swoją modlitwę. Wtedy, po tym ostatnim zawołaniu, był mój osobisty koniec świata. Tutaj przypomina mi się fragment Pisma: „biedak zawołał i Pan go usłyszał” (Ps 34,7).

Wtedy rozpoczął się moment przejścia. Miałem bardzo wyraźne odczucie wejścia w historię swojego życia, w umysł. Wchodziłem swoją percepcją w dany moment swojego życia. Zacząłem oglądać je „oczami” Pana Boga. Nieśamowite doświadczenie. To było z ogromną prędkością, ale tam nie ma czasu. Widziałem sytuacje ze swojego życia, pamiętałem je. Nie miałem percepcji cielesnej, ale bardzo wyraźnie odczuwałem, miałem poznanie, co mną w danej sytuacji kierowało, co było moją motywacją, moją intencją. Dlatego to było oczami Pana Boga, ponieważ obserwowałem swoje życie pod kątem tego, co mną kierowało, czego chciałem.

Miałem poznanie, że w zachowaniach, które uważałem za czysto altruistyczne z mojej strony, była jakaś nieczysta intencja. Na przykład kiedy wszystkie swoje pieniądze przekazałem innym, moją podświadomą intencją była poprawa sobie humoru, poprawa własnej samooceny. Inspiracją było poprawić sobie samopoczucie. Nie byłem nastawiony tylko na bliźniego, ale w tym było moje „ja”.

Kiedy czytam, że „nic nie

będzie zakryte, wszystko będzie wyjawione”, to odczytuję to w tym kontekście. Poznałem ukryte przed samym sobą własne pragnienia. Kiedy oglądałem swoje życie, następowała wycena. Odczuwałem skalę szczęścia na podstawie moich intencji. W danym zachowaniu odczuwałem najpierw złe, a potem dobre intencje, które mną kierowały i one się niejako sumowały. Po zsumowaniu złe intencje w danym czynieniu ujmowały mi szczęście, a dobre dodawały.

Kiedyś myślałem, że Pan Bóg nie jest takim „kalkulatorem”, że znaczenie mają niewralgiczne, kluczowe momenty w życiu, a reszta dzieje się przypadkiem. Kompletnie nie widziałem konsekwencji swoich czynów, widziałem tylko intencje. Jeśli zrobiłem coś z dobrych intencji, ale konsekwencje były złe, to ważne były moje intencje, a nie konsekwencje, które znałem ze swojego życia. Wszystko miało znaczenie, każda sytuacja.

- Czy było jakieś wydarzenie, którego pan po prostu nie pamiętał, a które znalazło się na tym sądzie?

W naszej szkole w pewnym momencie połączono klasy i zrobiły się grupki. Był tam taki nowy chłopak ze swoją bandą. Na jednej przerwie kilkoma kopniakami pokazałem mu, kto będzie w tej klasie rządził. Moja intencja była czysto zła. O tej sytuacji nikt z nas nie pamiętał. Mój kolega nie miał nawet siniaków, ale intencja była czysto zła. Nie było nawet wezwania do dyrektorki.

Wtedy poczułem wrzucenie w ogień, który pali, ale nie spala. Taka wizja ognia. To była „sekunda”, ale przerażająca. To był obraz ognia, potężnie cierpiałem przez tę sekundę. To jest niewyobrażalne cierpienie, którego nie jestem w stanie opowiedzieć. I ta jedna sekunda mnie zmieniła. Nie potrafię tego oddać słowami. To jest niewyobrażalna męka. Myślę, że gdybym był w ciele, to by mi serce pękło. Taki ból. Codziennie robię ofiarowania za dusze w czyścisku cierpiące. Całą moją motywacją była dziecięca pycha.

Dlatego ta sytuacja była znacznie surowiej oceniona, niż kiedy rzucałem kamieniami do ludzi. Tymi ludźmi byli ubecy, którzy na przesłuchaniach poniżali nasze koleżanki. Prześladowaliśmy ich, żeby ich nastraszyć i pokazać, że nie są anonimowi. Naszą intencją jednak było zapobieżenie poniżaniu naszych koleżanek i innych dziewczyn.

I rzeczywiście to zadziało. Ubecy zaczęli się bać i przestali czuć się anonimowo i bezkarnie.

- Jaka była kolejność tych scen, które pan oglądał? Od najcięższego grzechu, czy po prostu chronologicznie?

- Chronologicznie, od wypadku do narodzin. Po tamtych doświadczeniach, zacząłem na co dzień analizować swoje postępowanie. I to aż do przesady. Zadręczałem się myślami: „a jakie intencje tobą teraz kierują?”, „jaka jest twoja prawdziwa motywacja?”. To było aż chorobliwe. Dzięki łasce ten problem Pan mi odjął.

- Czy po odzyskaniu przytomności weryfikował pan szczegóły operacji, którą pan widział spod sufitu, z relacjami chirurgów?

- Tak, wszystkie szczegóły się zgadzały. Ja widziałem konkretnie, co, kto, gdzie i jak robił. Gdzie stał jakiś ssak. Operacja trwała dwanaście godzin. Słyszałem, jak jeden z chirurgów nie wytrzymał emocjonalnie i zaczął kłąć jak szewc. Trzeba było go zastąpić. Operacja polegała na tym, żeby zszyć wątrobę, która się rozpadała. Po zszyciu puszczano krew i szwy puszczały, więc trzeba było odessać krew, znowu zszyć wątrobę i puścić krew. I tak kilka razy aż do skutku. W pewnym momencie pani ordynator wyszła z sali operacyjnej do swojego gabinetu, żeby zadzwonić do centrum krwiodawstwa po kolejną krew. Potrzebowaliśmy jeszcze przynajmniej pięciu litrów. Dyspozytor jej odmówił.

- To wszystko widział pan i słyszał z „tamtej strony”?

- Słyszałem również to, co odpowiadał dyspozytor przez telefon. Dyspozytor odmówił wydania kolejnej krwi, ponieważ zostało mu ostatnie pięć litrów mojej grupy krwi i to jest żelazny zapas dla kogoś, kto by jej potrzebował. Ja już nie byłem rokującym pacjentem, transfuzowano we mnie już

20 litrów krwi, które „wyciekły”. Zgodnie z procedurą, miał prawo domówić. Ordynator zaczęła wtedy krzyczeć na dyspozytora i straszyć go prokuratorem. Ostatecznie przysłano dwa litry krwi, chirurgi jeszcze raz zszyli moją wątrobę i przeżyłem.

- Ta telefoniczna rozmowa odbyła się w czasie pana operacji w gabinecie pani ordynator?

- Tak. Później opowiedziałem o tym pani doktor i wszystko się zgadzało. Z tej „podsluchanej” rozmowy z dyspozytorem dowiedziałem się, że moja grupa krwi to A Rh-. Ten szczegół też się zgadzał. Druga rozmowa, którą widziałem i słyszałem, dotyczyła leku Essentiale forte, który właściwie podtrzymywał mi życie. Pani ordynator zadzwoniła do hurtowni leków, w której szpital miał długi, o czym oczywiście wcześniej nie wiedziałem. Sprzedawca z hurtowni powiedział pani ordynator, że dopóki nie spłaci zadłużeń z zeszłego roku, hurtownia przesyła tylko te leki, które ratują życie. Essentiale forte nie jest zakwalifikowany jako lek ratujący życie, choć w moim przypadku de facto podtrzymywał mnie przy życiu.

- Chciał pan odzyskać zdrowie, wrócić do żywych?

- Ja już nie chciałem wracać. Miałem pretensje do lekarzy, że mnie uratowali. Po dwóch miesiącach ich heroicznego walki o moje życie, kiedy wyjęli mi rurkę tracheostomijną, pierwsze słowa, które skierowałem do nich, były pełne wyrzutu i żalu. Później ich za to przeprosiłem. Jedyne, co chciałem, to wrócić na chwilę, pocieszyć moich bliskich, zapewnić ich o życiu po śmierci. Nie chciałem zostawać. Modlitwy moich bliskich były jednak silniejsze.

Ks. Wiktor Szponar

Fragment książki „Życie po śmierci. Teologiczne śledztwo”.



Świątynia duchowa

Świątynia symbolizuje miejsce niewidzialnej, lecz rzeczywistej Bożej obecności, a wraz z nią błogosławieństwa i ochrony wiernych, którzy ufają Bogu.

Pismo Święte obrazuje przejście od świątyni jerozolimskiej jako budowli wzniesionej przez ludzi do nowej świątyni, którą jest Jezus Chrystus, i świątyni duchowej, którą jest Kościół.

ŚWIĄTYNIA JEROZOLIMSKA

Zanim król Salomon zbudował świątynię w Jerozolimie, Izraelici wyprowadzeni z Egiptu oddawali cześć Bogu w przenośnym sanktuarium (miśkan), które towarzyszyło im podczas wędrówki do Kanaanu. Jego centrum stanowił Namiot Spotkania bądź Świadcstwa (ohel moed), podzielony na trzy części: Miejsce Najświętsze, Miejsce Święte i Przedśionek. To sanktuarium zostało wykonane przez ludzi, lecz dokładnie według wzoru i poleceń otrzymanych od Boga (Wj 25, 9. 40). Wierzone, że jest On obecny pomiędzy dwoma podobiznami cherubów nad przeblagalnią nakrywającą Arkę Przymierza. Znakiem Jego obecności był też obłok (Wj 33, 7-10) i chwała Pana (Lb 14, 10; 16, 19), ukazujące się nad sanktuarium.

Gdy Izraelici weszli do ziemi obiecanej i przejęli ją w posiadanie, miejsce przenośnego sanktuarium zajęła świątynia w Jerozolimie. Według tradycji żydowskiej została zbudowana na górze Moria, na której Abraham miał ofiarować Bogu swojego jedyne syna (Rdz 22, 1-14). Świątynię budowano przez siedem lat, co nasuwa skojarzenie z siedmioma dniami stworzenia. Postrzegana jako centrum świata, stanowiła ziemski archetyp rzeczywistości niebiańskiej, powieliała bowiem plan i przeznaczenie Namiotu Spotkania (1 Krl 6, 1-38). W pismach Józefa Flawiusza zachowała się opinia, że trzy części świątyni odpowiadają trzem częścią świata: odpowiednik Miejsca Najświętszego to niebo, Miejsca Świętego – ziemia, a Przedśionka – morze.

Z upływem czasu, jako jedyne miejsce wyznaczone do składania ofiar Bogu, świątynia jerozolimska stała się celem pielgrzymowania, zwłaszcza przy okazji trzech najważniejszych świąt: Paschy, Święta Tygodni (Pięćdziesiątnica) i Święta Namiotów. Zachowało się kilkanaście psalmów, określanych nazwą „pieśni wstępowań” (Ps 120 [119]–134 [133]), śpiewanych podczas pielgrzymek do Jerozolimy. Ze względu na położenie Miasta Świętego

to pielgrzymowanie wymagało wysiłku, aby do niego dotrzeć. Kiedy cel był już bliski, pielgrzymi śpiewali: „Uradowałem się, gdy mi powiedziano: «Pójdziemy do domu Pańskiego!»”. / Już stoją nasze stopy w twych bramach, o Jeruzalem” (Ps 126 [125], 1-2).

Świątynia stanowiła znak wybrania i widzialne zobowiązanie do wierności przymierzu. Lecz w spojrzeniu na nią uwidaczniała się też biegunowość. Z jednej strony była przedmiotem podziwu i wdzięczności za to, że Bóg umieścił w niej swoje Imię (1 Krl 8, 15-21). Ku niej kierowały się więc tęsknoty wyrażone w słowach psalmu: „Dusza moja pragnie Boga, Boga żywego, kiedyż więc dojdę i ujrzę oblicze Boże?” (Ps 42 [41], 3). Ale z drugiej strony istniała świadomość, że budowla wzniesiona przez ludzi w żaden sposób nie ogranicza Boga.

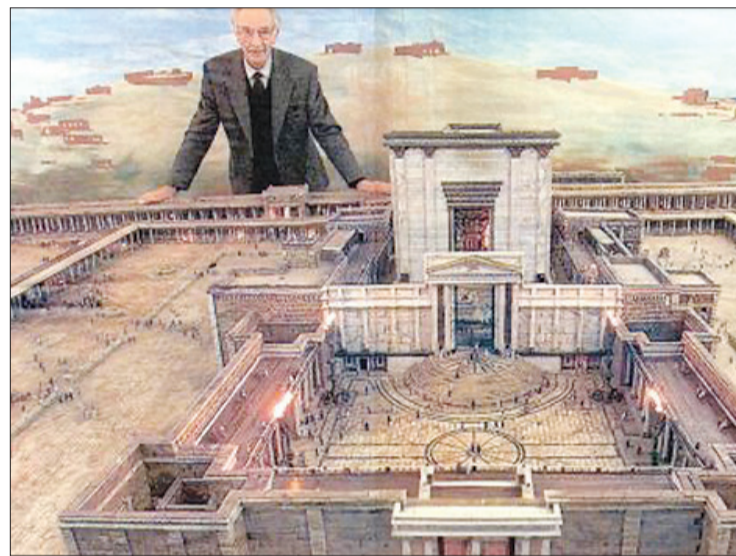
Świątynia dzieliła dramatyczne losy Izraelitów, których historia jest dzielona na zasadnicze etapy: okres Pierwszej Świątyni (ha-bait ha-rišon) i Drugiej Świątyni (ha-bait ha-šeni). Pierwszy trwał od panowania Salomona w połowie X w. przed Chrystusem do zagłady Jerozolimy i zburzenia świątyni przez Babilończyków w początkach VI w. przed Chrystusem. Drugi rozpoczął się wraz z odbudową podjętą pod koniec tegoż wieku i trwał do 70 r. po Chrystusie, gdy świątynia została zburzona przez Rzymian. W ciągu kilkudziesięciu lat wygnania babilońskiego, w okresie między zburzeniem i odbudową, na ruinach świątyni podtrzymywano, na ile było to możliwe, sprawowanie kultu. Natomiast po klęsce zadanej przez Rzymian świątynia nie została już nigdy odbudowana. Na przełomie VII i VIII w. na jej miejscu wzniesiono muzułmańską Kopułę Skały, znaną jako meczet Omara.

Ten stan rzeczy istnieje do dziś, mimo że Żydzi podejmowali próby odbudowy. Najbardziej spektakularne miały miejsce podczas powstania Bar Kochby (lata 132–135) i za panowania cesarza Juliana Apostaty (360–362). Również w ostatnich dekadach są ponawiane próby zmiany wielowiekowego status quo i zbudowania sanktuarium, które integrowałoby naród żydowski.

KOŚCIÓŁ JAKO ŚWIĄTYNIA

Święty Augustyn napisał: „Salomon zbudował Bogu świątynię, jako obraz i zapowiedź przyszłego Kościoła oraz ciała Pańskiego” (Objaśnienia Psalmów 126,

2). Motyw ciała Pańskiego podejmuje słowa Jezusa, który wyrzucając przepelnionych i dokonując znaku oczyszczenia świątyni jerozolimskiej (J 2, 13-22), powiedział: „Zburzcie tę świątynię, a Ja w trzy dni wzniosę ją na nowo” (w. 9). Ewangelista dodaje: „On zaś mówił o świątyni swego ciała. Gdy zmartwychwstał, przypomnieli sobie uczniowie, że to powiedział, i uwierzyli Pismu i słowu, które wyrzekł Jezus” (ww. 21-22). W rozmowie z Samarytanką pojawia się zapowiedź, że Jezus Chrystus będzie ośrodkiem radykalnie nowego kultu: „Nadchodzi



Makieta Świątyni Jerozolimskiej

jednak godzina, nawet już jest, kiedy to prawdziwi czciciele będą oddawać cześć Ojcu w Duchu i prawdzie” (J 4, 23). Ten kult wynika z nowości osoby i posłannictwa Jezusa jako Boga i człowieka.

W podniosłym hymnie, który otwiera Ewangelię według św. Jana, wcielenie Syna Bożego zostało przedstawione w nawiązaniu do rzeczywistości i słownictwa opisującego Namiot Spotkania: „A Słowo stało się ciałem i zamieszkało („rozbiło namiot”) wśród nas. / I oglądaliśmy Jego chwałę, chwałę, jaką Jednorodzony otrzymuje od Ojca, / pełen łaski i prawdy” (J 1, 14).

Zburzenie świątyni jerozolimskiej nastąpiło niespełna czterdzieści lat po śmierci i zmartwychwstaniu Jezusa. Zanim została zburzona, Jego wyznawcy wstępowali tam nie po to, żeby składać ofiary, lecz żeby się modlić. Mieli w pamięci słowa Jezusa, że Jego ofiara na krzyżu wypełniła wolę Ojca: „Dlatego miłuje Mnie Ojciec, bo Ja życie moje oddaję, aby je znowu odzyskać. Nikt mi go nie zabiera, lecz Ja sam z siebie je oddaję. Mam moc je oddać i mam moc je odzyskać” (J 10, 17-18). Wierzyli również, że ciało zmartwychwstałego Pana jest obecne w Eucharystii, której ofiarnicza wartość zastąpiła wszystkie ofiary Starego Przymierza. Miejsca, gdzie ją

sprawowano, zastąpiły świątynię jerozolimską. Gdy pod ciosami Rzymian rozsypała się w gruzy, spełniły się zapowiedzi proroków i słowa Jezusa, który na widok Miasta Świętego zapłakał nad nim: „Twoi nieprzyjaciele otoczą cię wałami, oblegną cię i ścisną zewsząd. Powalą na ziemię ciebie i twoje dzieci z tobą, a nie zostawią w tobie kamienia na kamieniu za to, żeś nie rozpoznało czasu twojego nawiedzenia” (Łk 19, 43-44).

W wizji Jeruzalem czasów mesjańskich, zamieszczonej pod koniec Apokalipsy św. Jana, świątynia Starego Przy-

mi? Bo my jesteśmy świątynią Boga żywego – według tego, co mówi Bóg: Zamieszkać z nimi i będę chodził wśród nich, i będę ich Bogiem, a oni będą moim ludem” (2 Kor 6, 16). Jak świątynia jerozolimska stanowiła miejsce święte, które miało być oddzielone od reszty świata, tak wyznawcy Chrystusa powinni być oddzieleni od tego, co im szkodzi, niszcząc ich wiarę i wypaczając postępowanie.

Różnica między świątynią jerozolimską a Kościołem jako wspólnotą wyznawców Jezusa Chrystusa, czyli świątynią duchową, została uwypuklona w Liście do Efezjan. Święty Paweł nawiązuje do muru, który postawiono na terenie świątynnym, by oddzielił miejsce przeznaczone dla żydowskich mężczyzn i kobiet, położone najbliżej świątyni, od „dziedzińca pogan”. Przekroczenie tej granicy było obwarowane karą śmierci. Chrześcijaństwo położyło kres temu podziałowi. Zwracając się do wiernych nawróconych z pogaństwa, św. Paweł podkreślił: „Ale teraz w Chrystusie wy, którzy niegdyś byliście daleko, staliście się bliżsi przez krew Chrystusa. On bowiem jest naszym pokojem. On, który obie części [ludzkoci] uczynił jednością, bo zburzył rozdzielający je mur – wrogość” (Ef 2, 13-14). Kościół jest świątynią duchową, która gromadzi i jednoczy wyznawców Chrystusa ze wszystkich ludów i narodów.

Udzielając napomnień dotyczących osobistej świętości, Pierwszy List św. Piotra wzywa chrześcijan: „Przybliżając się do Tego, który jest żywym kamieniem, odrzuconym wprawdzie przez ludzi, ale u Boga wybranym i drogocennym, wy również, niby żywe kamienie, jesteście budowani jako duchowa świątynia, by stanowić święte kapłaństwo, dla składania duchowych ofiar, miłych Bogu przez Jezusa Chrystusa” (1 P 2, 4-5).

W duchu Nowego Testamentu św. Augustyn rozwinął obraz Kościoła jako świątyni: „Świątynią królewską jest sam Kościół [...] Z czego zbudowana jest ta świątynia? Z ludzi, którzy do niej wchodzi. Kto jest żywymi kamieniami, jeśli nie ludzie wierzący w Boga? [...] Świątynia królewska nie wali się, nie jest rozbita, nie jest podzielona. Spoiwem żywych kamieni jest miłość. [...] Świątynię swoją Bóg wszędzie rozmięścił, wszędzie założył fundamenty proroków i apostołów” (Objaśnienia Psalmów 44, 31-33).

Ks. prof. Waldemar Chrostowski

